Nr. 18. We Lwowie dnia 1. Maja 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Germanizacja w zaborze pruskim.

(Ciąg dalszy).

Komisja kolonizacyjna, jak już wspomnieliśmy, nabyła 1.790 h. całej przestrzeni Księstwa i Prus Zachodnich; znaczna część ziemi, nabytej przez komisję, znajduje się jeszcze w jej rękach. Do końca 1896 r. rozkolonizowano 35.330 hektarów, to znaczy, że w ręku komisji pozostało jeszcze więcej, niż 50 kilka tysięcy hektarów!

Na 35.330 hektarach osiedliła komisja 1.975 rodzin, z tych 318 z polskich prowincji Prus, przybyłych zaś z właściwych Niemiec 1.157. Licząc na rodzinę 6 głów, otrzymamy przyrost ludności napływowej niemieckiej 7.000. 7.000 głów na 3 miljony miejscowej ludności polskiej jest to śmiesznie mały rezultat stu miljonowego funduszu; tem bardziej nikły jest ten rezultat, gdy uprzytomnimy sobie, iż przyrost naturalny polskiej ludności jest większy od niemieckiej. Na 1.000 mieszkańców przewyżka wypadków urodzeń nad śmiercią wynosi (Statistische Jahrbuch für Deutsche Reich 1897) w całem państwie Niemieckim 14.0, w Prusach Zachodnich 14.6. w Ks. Poznańskiem 20.6.

Od 1886 r. osiedleńcy musieli wnieść do kasy komisji 1.071.803 marek, wnieśli zaś 960.307, pozostaje niedobór, stosunkowo znaczny, jeżeli weźmiemy pod uwagę tę pomoc, jaką osiedleńcy otrzymują od państwa, które zakupuje dla nich, po zniżonej cenie, bydło, zboże, narzędzia rolnicze i t. p., przyjmuje na siebie ciężar utrzymania biednych, buduje szkoły, kościoły, szpitale i t. d. i t. p.

Znaną jest żądza chłopa posiadania kawałka ziemi, a jednak w końcu 1896 r. było niezajętych 1.031 gospodarstw, kompletnie urządzonych przez komisję. Rok rocznie zmniejsza się liczba włościan, zgłaszających się do komisji z chęcią osiedlenia się. Nie dziwnego. Polskie prowincje Prus, jak wiadomo dostarczają „obieżysasów“: zarobki niskie, przemysł słabo rozwinięty, mało miast. Wobec takich warunków na małych parcelach chłopskich trudno się utrzymać i dlatego pomimo wszelkich ulg i opieki państwa ogół kolonistów nieświetnie się miewa. Bogaty chłop niemiecki nie ma czego zazdrościć osiedleńcowi komisji kolonizacyjnej, a biednego chłopa komisja nie może osiedlać, pod grozą zupełnego bankructwa.

Przeprowadzenie melioracji rolnych, budowa gmachów publicznych, szpitali, kościołów, szkół i t. p., kompletne urządzenia gospodarskie kosztują komisję kolonizacyjną miljony marek.

Zarząd ziemi, która jeszcze nie jest zajęta przez kolonistów, nie odznacza się taniością. Na same płace swych urzędników (13 wyższych, 11 geometrów, 64 subalternów) wydała komisja 2 miljony marek.

Komisja kolonizacyjna przedewszystkiem jest źródłem złotośnem dla pruskiej biurokracji.

Przeciwko komisji kolonizacyjnej i niedawno uchwalonemu nowemu stu miljonowemu funduszowi podnoszą się coraz częściej głosy w prasie niemieckiej:

Zasługuje na uwagę artykuł: „Wie soll der Kampf um die Ostmark gefürt werden“, niedawno ogłoszony w lipskim tygodniku Trunoma „Grenzbote“ (zeszyty za luty b. r.). „Nie ulega wątpliwości, pisze autor-anonim wspomnianego artykułu, że dla Niemiec miało by ogromne znaczenie, by ludność wschodnich kresów państwa była wyłącznie niemiecką. Nie urzeczywistniło się to jednak w przeszłości i nie urzeczywistni się w przyszłości przy stosowaniu tak gwałtownych środków germanizacyjnych, jak łagodnych. Myśl masowego zgermanizowania Polaków jest utopją, niedościgniona w naszych czasach, gdyż żyjemy w państwie konstytucyjnem. Niezbędnem jest jednak wzmocnić niemiecki element. Nie stawmy tylko narazie zbyt wygórowanych żądań. Qui trop embrasse mal etreint. Pierwszym celem naszym powinno być wzmocnienie elementu niemieckiego w miastach“.

Miasta, jako główne ogniska ruchu umysłowego i kulturalnego, mają ogromne znaczenie dla sprawy narodowej. „Miejski stan średni jest słabą stroną Polaków“, powiedział Bismark w 1894 r.

Twierdzenie to jednak faktami obalił p. Wielkopolanin w pracy swej „Walka rasowa i ekonomiczna w W. Ks. Poznańskiem“

Na 131 miast, podaje Wielkopolanin, tylko w 60 Niemcy stanowią większość, w 70 są mniejszością, a w 39 Polacy czynią 80% ogółu ludności.

Przemysł polski i handel ciągle wzrastają i coraz skuteczniej walczą z niemieckim.

W Inowrocławiu było w 1885 r. 16 niemieckich i 2 polskie handle towarów kolonjalnych. Dziś obok 7 niemieckich jest 10 polskich, prócz tego 3 składy apteczne. Przedsiębiorstwo budowlane w 1885 r. było całkiem w rękach niemieckich. Dziś wedle Finka jest 6, wedle Jaworskiego 2 budowniczych Polaków.

Śród piekarzy nie było w 1885 r. żadnego Polaka: dziedzina ta należała niepodzielnie do 15 Niemców. Dzisiaj zaś na 28 piekarzy jest 8 Polaków. Fryzjerów w 1885 r. było 2, z nich jeden tylko Polak, dziś na 10 jest 8 Polaków. Przed dwunastu laty był jeden lekarz Polak, dziś pięciu. W Śremie przed 30 laty było wielu przemysłowców niemieckich, sklepy w rynku należały przeważnie do Żydów i Niemców. Dziś tylko jeden zegarmistrz Niemiec i aptekarz mają swe firmy, w rynku. Od 1865 r. ludność niemiecka w Śremie stale się zmniejsza, o czem świadczą księgi metrykalne.

Ilość Polskich firm, zakładów, stowarzyszeń handlowych i przemysłowych stale wzrastają w Poznaniu — jak widać z następującej tablicy z „Grenzbote“ (laty 1898 r.), podczas gdy ilość firm niemieckich, a szczególniej żydowskich stosunkowo, a nawet absolutnie się zmniejsza.

Firm handlowych, zakładów i stowarzyszeń przemysłowo handlowych było w Poznaniu:

W roku	Niemieckich		Polskich	ogółem
	chrześc.	żydow.		
1894	155	490	115	760
1895	157	483	119	759
1896	158	482	122	764
1987	155	483	125	763

„Grenzbote“ (w art. „Wie soll das Kampf um die Ostmark gefürt werden“) podaje tu daty statystyczne, dowodzące wzrostu ludności polskiej w Poznaniu i upadku ludności niemieckiej (żydzi w Poznaniu należą przeważnie do niemieckiej narodowości).

W r.	było katol. (*)	protest.	żydów	ogółem
1871	28.733	20.368	7.255	56.374
1880	35.717	22.882	7.063	66.713
1885	37.960	23.528	6.719	68.318
1895	43.593	23.745	5.810	73.239

W ciągu 25 lat liczba:

katolików wzrosła o 14.860
protestantów 3.377
a żydów zmniejszyła się o 1.445

Licząc wszystkich ewangielików i większość żydów za Niemców, pisze wyżej cytowany Autor („Grenzbote“ luty b. r.) i przyjąwszy, że Niemcy katolicy stanowią 12% (*) ludności katolickiej, otrzymamy następujący stosunek narodowościowy w Poznaniu:

W roku	Polaków	Niemców	Ogółem
1871	25.900	31.000	56.300
1895	38.300	34.000	76.000

Czyli na 1.000 mieszkańców wszystkich wyznań wypada:

1871 r. 450 Polaków i 550 Niemców.
1895 r. 530 „ i 470 „

Polacy — tylko katolicy, Niemcy — protestanci, żydzi i pewien procent katolików; Polacy przeto stanowią pod względem religijnym i rasowym bardziej jednolitą masę od Niemców.

(D. n.)

Z pobytu Władysława Żeleńskiego w Pradze.

WSPOMNIENIE Z R. 1860 — 1.

skreślił

Łukasz Wielkopolanin,

(Dokończenie).

Drugim tuzem, który sobie zjednał trwałą sympatję drużyny praskiej, był Dr. Stanisław Janikowski, syn profesora sądowej medycyny i psychiatry w Warszawie. Rzadko się zdarza spotkać człowieka, posiadającego tak, jak on, same cnoty i doskonałości, żadnych zaś prawie

(*) Katolicy — przeważnie Polacy. Podług Komornickiego w W. Ks. Poznańskiem Niemcy katolicy stanowią 4, względnie 6% z ogółu ludności katolickiej Księstwa. („Polska na Zachodzie w świetle cyfr.“ Część I Zabory i kolonizacja na ziemiach polskich str. 131).

(*) Jeżeli Niemcy katolicy stanowią mniej, niż 12% ludności katolickiej Poznania, stosunek narodowościowy jest dla Polaków jeszcze bardziej pomyślny, niż oblicza ów autor-anonim.

12% bezwątpienia za duży. Te 12% otrzymał autor w następujący sposób: Na 73.239 mieszkańców Poznania (43.593 katolików) 23.745 protestantów i 5.810 żydów było używających w domu jęz. polskiego 38.293, niemieckiego 34.043, polskiego i niemieckiego 500.

błędów i przywar. Łagodnością i spokojem, dobrocią niezrównaną, skromnością i wrodzonym taktem w obcowaniu, uczynnością delikatną i słodyczą zdobywał sobie serca wszystkich, z którymi przestawał. Posiadając umysł trzeźwy i jasny, choć nie wyposażony wielką twórczością, potrafił przy niezmordowanej pracowitości nie tylko opanować i przyswoić sobie całą wiedzę we własnym fachu, lecz zajmować się nawet przedmiotami, nie mającymi styczności z medycyną; zwłaszcza sprawy społeczne w ogóle, a ekonomiczne w szczególności przyciągały go swą zawiłością i znaczeniem. Odznaczał się przytem stałością zasad i przekonań, ścisłością zakreślonych celów, jakie w życiu urzeczywistnić pragnął, uporczywą wytrwałością w przeprowadzeniu swych zamiarów i myśli. Dołączone tu dwa jego listy, dosadnie charakteryzują człowieka.

Wiedeń 18 maja 1861. Kochany Łukaszu! Bóg zapłać, żeś się odezwał do mnie. Myślałem już nieraz o Waszmości, ale do listów bardzo ciężki jestem od pewnego czasu, teraz zaś szczególniej, kiedy od półczwarta tygodnia piszę obszerny list codzień, albo przynajmniej co drugi dzień ex officio: Tak jest, mój Łukaszu, nigdybyś nie był tego zgadł, więc Ci muszę wyraźnie powiedzieć — stałem się dziennikarzem! tylko — da Bóg — nie na długo tego będzie, bo mi już trochę kością w gardle stanęło. Skąd mi się to wzięło? Oto za jakieś ciężkie grzechy pewno spadła na mnie ta kara, muszę bowiem greckie fatum wziąść do pomocy, aby sobie wytłumaczyć, skąd mi się wzięła ta śmieszna rola. Z Warszawy gwałtem na mnie natarli, żebym do „Gazety Polskiej“ (dawniej: „Codziennej“) pisywał korespondencję polityczną; napróżno im łopatą w głowę kładłem, że nic im nie przyjdzie z korespondencji, która ostatecznie będzie tylko kompilacją z gazet i stosunkowo późne wiadomości im będzie przynosić; nic to nie pomogło, żądali koniecznie i musiałem się zgodzić Postawiłem warunek, żeby po 3-ch korespondencjach oświadczyli, czy chcą dalszego ciągu. Już 17 korespondencji posłałem i są ciągle kontenci: mocno ich żałuję, bo dowodzi to dwóch rzeczy: raz, że mają wielu gorszych korespondentów (o czem się zacząłem przekonywać od czasu, jak tę Gazetę zaprenumerowałem), powtóre, że na miejscu nie mają potrzebnych ludzi fachowych w redakcji, kiedy mogą się posługiwać kompilacją takiego dziennikarza - amatora, jakim ja jestem. Nie przeczę, że jest to praca zajmująca — ale dla mnie mozolna, wiele czasu zajmująca (bo nie umiem ani prędko myślić, ani prędko pisać), wreszcie pomimo zaciekawienia wciąż pozostawia mnie niezadowolonym, bo się muszę wciąż w powierzchowności poruszać z braku dostatecznych wiadomości historycznych, gieograficznych, statystycznych, prawniczych, ekonomicznych i t. d. i t. d. Długo w każdym razie w takiej pracy bym nie wytrzymał. Powierzchowność w nauce ma dla mnie coś strasznie odrażającego i pomimo nagany, której się od Ciebie spodziewam (bom ją już w Pradze słyszał), powtarzam, że jestem stworzony na człowieka, zajmować się mogącego tylko fachowo jaką nauką, a że do tego podobno nigdy nie przyjdzie, więc też nie będzie ze mnie na świecie wielkiej pociechy. (Jeżeliś ciekaw mego talentu dziennikarskiego, przejrzyj w „Gazecie polskiej“ korespondencje z Wiednia, bez znaczka). Wystaw sobie, że codziennie przeczytam przynajmniej 12 gazet, a czasem i więcej! Ale nie sądź, żebym przez to zaniedbywał medycynę — owszem podczas dnia poświęcam czas na kliniki, z których szczególniej pilnie uczęszczam na Skodę i Hebrę, nadto na demonstracje z anatomji patologicznej Rokitanskiego i tegoż sekcje sądowe, wreszcie na kurs chorób umysłowych Leidesdorfa.— Co do Polonji tutejszej, to spotykam się codzień tylko z kilkoma medykami. Są to po większej części już sekundarjusze szpitalni; kilku między nimi bardzo zacnych chłopców, parę — jakby Ci to powiedzieć? — Polaków wiedeńskich, wszyscy zaś wogóle strasznie w swym fachu zatopieni, bez porównania więcej odemnie; nieraz złości mnie i odchodzę, gdy zaczną po niemiecku (sic!) o medycynie rozprawiać. Z niższych kursów jest jeden bardzo rozumny i wszechstronnie ukształcony, a bezustannie przemyśliwający nad dobrem kraju. Przy wielkiem zatrudnieniu mojem i odległości miejsc raz jeden dopiero byłem między technikami, nie mogę więc o nich nic powiedzieć. Wiesz, żem miał zamiar ubiegać się o miejsce adjunkta przy katedrze medycyny sądowej. Otóż projekty moje na niczem spełzły. Nie wiem czy Ci wiadomo, że konferencja Akademji (składająca się teraz z 9 profesorów i prezydenta) ma prawo albo wybierać z kilku kandydatów przedstawionych przez członków konferencji, albo, jeżeli zechce, ogłosić konkurs. W obsadzeniu posady, do której aspirowałem, użyła konferencja środka mniej liberalnego, t. j. nie ogłosiła konkursu, na który w naiwności swej liczyłem. W głosowaniach tych ojciec mój naturalnie nie brał udziału. Z przedstawionych dwóch kandydatów ja otrzymałem 3 głosy, 6 zaś Dr. Pląskowski, który przeto otrzymał katedrę. Dr. Pląskowski kilka lat temu był wysyłany kosztem Rządu za granicę dla kształcenia się w psychiatrji, ale trzeba Ci wiedzieć, że tytuł profesury, o którą tu szło, jest następujący: „adjunkt

---

Od liczby 43.593 katolików, odjąwszy 38.296 używających języka polskiego, otrzymał 5.300 Niemców katolików, skąd na 1.000 katolickich mieszkańców Poznania 878 Polaków i 122 Niemców. W obliczeniu swojem autor pominął 500 Polaków, przeważnie zapisanych w rubryce dwujęzycznych.

do wykładu policji lekarskiej, hygjeny i dyetetyki“ — cóż więc to ma za związek z psychjatrją? Pomimo tego zamierzam i nadal poświęcać się medycynie publicznej, o ile to mi będzie możliwe przy pracy na chleb powszedni.

Bywaj zdrów i pisz do mnie, a co do wycieczki w Karpaty, wciąż jeszcze o niej marzę; donieś mi, kiedy kończą się w Krakowie wasze kursy, jaki przeto byłby najdalszy termin, do któregobyś na mnie czekał? Twój *Stanisław.*

Kraków 17 marca 1867. Kochany Łukaszu! Już blisko 2 miesiące, jak odebrałem Twój list, a dziś dopiero zebrałem się nań odpowiedzieć, ale proszę Cię, nie bierz mi tego za złe i nie wnoś stąd, żebym zapomniał o starych przyjaciołach. Z początku byłem zaabsorbowany słabością żony, potem zaś zjechali tu brat żony i ich matka, których obecność bardzo wiele czasu mi zajmowała; do czego doliczywszy codzienny wykład medycyny sądowej, na który potrzeba mi kilka godzin, aby należycie się przygotować, nic dziwnego, że zaległem w korespondencji z krewnymi i przyjaciółmi. Teraz goście moi się rozjechali, wykłady teoretyczne pokończyłem, zabrałem się więc do zaległości i zaczynam od listu do Ciebie.

Otóż naprzód cieszę się, że wśród tej burzy wypłynąłeś jako tako szczęśliwie. Jak dawno się ożeniłeś? i skąd twoja żona? Dziękuję Ci serdecznie za zaprosiny, z których skorzystam, bo pragnąłbym Cię zobaczyć po tak długim czasie; jednakże na tę Wielkanoc jeszcze nie obiecuję, bo są ważne przeszkody. — W r. 1862 otrzymałem od Ciebie list i na takowy odpisałem, nie podzieląc wówczas Twoich opinij i nadzieji. Drugiego listu nie odebrałem. Przez te lat kilka przeszedłem ciężkie koleje. Najprzód co do stosunków familijnych, utraciłem w początku r. 1863 matkę, a w końcu 1864 r. ojca, ze śmiercią którego ubyła mi jakoby część własnej istoty, tak się wzajemnie dopełnialiśmy w naszych pojęciach, pracach, zajęciach. Ojciec w ostatnich 2 latach swego życia zgryzł się niemało wypadkami naszemi publicznymi, martwił się też i mojem niepowodzeniem, gdy parę razy szczęśliwsi konkurenci ubiegli mnie w staraniach o posadę publiczną odpowiednią mym usposobieniom (lekarza miejskiego, profesora medycyny publicznej w Warszawie.) Ja tego naturalnie nie brałem tak do serca, lecz rodzicom trudno wyperswadować wygórowane pojęcie o swem dziecku: jest to słabość powszechna. Do praktyki leczniczej nie miałem wcale skłonności: poprzestawałem na wykonawstwie w szpitalu i na praktyce sądowo-lekarskiej — jako lekarz szpitalu Dzieciątka Jezus i zastępca lekarza miejskiego (obie posady bezpłatne), resztę czasu poświęcałem dalszym studjom książkowym w medycynie publicznej. W r. 1862 przy ożywionem u nas życiu publicznem otworzyło mi się właściwe pole działania w Delegacji hygjenicznej rady miejskiej warszawskiej i stanąłem szczerze na stanowisku tych, co w reformach, podanych przez Wielopolskiego upatrywali drogą jedyną do lepszej przyszłości. Nadszedł r. 1863. Trzymałem się odpornie i sceptycznie aż do lata, lecz nie wytrwałem przy moich opinjach; rezultatem było dwukrotne uwięzienie, które jednak szczęśliwie ukończyło się kontrybucją (10000 złp.); co mnie jednak najbardziej bolało, to żem cierpiał nie za przekonanie prawdziwe, lecz chwilowe, błędne, żem chwilowo (w r. 1863) zmienił przekonanie — a „przekonanie jest męża zaszczytem....“ Po śmierci ojca dały mi się uczuć dalsze następstwa zmienionego u nas porządku: usunięto mnie ze szpitalu i z zastępstwa lekarza miejskiego, odjęto mi więc możność praktykowania w medycynie publicznej, praktyki zaś leczniczej nie miałem, jak przedtem. Za życia ojca nie troszczyłem się o utrzymanie, on bowiem zaspokajał wszystkie moje potrzeby. Teraz odziedziczyłem po ojcu około 150000 złp. w kapitałach, lecz przez $1^1/_2$ roku następnego pobytu we Warszawie wydawałem więcej, niż miałem dochodu i potraciwszy kapitały, których nie będzie można odebrać, mam obecnie około 130000 złp. Tymczasem w przeszłym r. ożeniłem się, co nie zmniejszyło wydatków, gdy niemal równocześnie spada mi jak z nieba zapowiedź, a w pół roku potem urzeczywistnienie tego, do czegom oddawna wzdychał, nominacja na profesora medycyny publicznej w Krakowie, o którą wcale się nie ubiegałem. Przeniosłem się więc zaraz do Krakowa, w którym od 5 miesięcy wykładam i szczęśliwym się czuję, osiągnąwszy stanowisko, na którem siły moje dadzą się najodpowiedniej spożytkować. Żonę pojąłem niemajętną, ale, co więcej znaczy, poczciwą, dobrą, nie rozrzutną, a przytem młodą i ładną. Tutaj żyć można oszczędniej, niż w Warszawie, pensji mam 1200 złr., czesnego około 300 złr. rocznie, a doliczywszy około 8000 złp. dochodu od kapitału mógłbym żyć wygodnie, a nawet coś oszczędzić. Z praskich znajomych jeden Strzałko umarł niedawno w Łodzi. Żeleńskiego widziałem tu przed 4 miesiącami; pojechał do Paryża dalej pracować nad muzyką. Wtyński jest w Warszawie we fabryce machin. Kończę dziś na tem, prosząc Cię, abyś mi nie oddał wet za wet pod względem odpowiedzi. Ściskam Cię serdecznie Twój. *Stanisław.*

* *
*

Po opuszczeniu przymusowem Pragi spotkałem się w gromadzie ze serdecznymi druhami z Pragi jeszcze tylko dwa razy: najprzód na proponowanej i urządzonej przezemnie wycieczce w Tatry, odbytej wspólnie na początku wielkich ferji w r. 1861, na którą stawili się prawie wszyscy „weterani pułku“ i Dr. Janikowski, potem z lekarzami głównie w r. 1862 w Ber-

linie, do którego przeniosłem się na ukończenie studjów dla doktoryzacji i egzaminu państwowego. Już w półroczu letniem t. r. zostałem wybrany przez młodzież na „marszałka" Towarzystwa literackiego, instytucji oddawna istniejącej w Berlinie, która pod mojem przewodnictwem dosięgnęła szczytu rozwoju i chluby, w owym to bowiem czasie powstała myśl zjednoczenia w związek ogólny całej młodzieży, kształcącej się we wyższych zakładach w kraju i zagranicą, do czego pomysł akademików berlińskich uczczenia pamięci przed rokiem zmarłego Lelewela nadał się wybornie, jako niewinny a szlachetny środek. Chociaż bowiem ta myśl już przedtem pokutowała wśród młodzieży, teraz dopiero z powodu zbierania składek na fundusz świetnego historyka weszła ona ze sobą w ściślejsze związki. W sprawie tej rozesłałem w imieniu Towarzystwa literackiego w Berlinie następującą odezwę: „Bracia! Dzień 29. Maja jest pierwszą rocznicą śmierci ś. p. Joachima Lelewela. Nie tu miejsce rozwodzić się nad zasługami zmarłego, lecz przypomnieć się godzi, iż był wzorem służącego krajowi obywatela, nauczycielem dwóch ostatnich pokoleń, patrjarchą całej dziś kształcącej się młodzieży polskiej. Słuszna tedy, aby ta młodzież w smutną rocznicę uczciła pamięć drogiego sobie męża trwałym, życiu jego odpowiednim pomnikiem. Przyznacie, że nie na czasie dzisiaj stawiać pomnik z marmuru i ze surowem życiem a skromnością, z ostatnią wolą zmarłego niezgodny. Temi uczuciami kierowana młodzież polska w Berlinie powzięła myśl uczczenia cieniów przewodnika naszego, założeniem stypendjum, nazwisko Lelewela noszącego, które pod bezpośredni nadzór Towarzystwa Pomocy Naukowej w Poznaniu oddane, otrzymywać będzie Polak, poświęcający się historji w literaturze ojczystej. Nie będąc w możności sami znacznego kapitału dostarczyć, dzielimy się z wami, Bracia, tą myślą w naszem gronie poczętą, z tą niezawodną nadzieją, że jej jako cudzej nie odepchniecie, ale owszem za wspólną uznać zechcecie, że przyczynicie się choć skromnym datkiem do urzeczywistnienia tego pomysłu: wzorem, pracą, cnotami ś. p. Lelewela natchnionego. Obok naszej składki przy spodziewanym udziale obywateli i młodzieży w kraju, jako też Waszym, Bracia, po obcych rozrzuceni wszechnicach, spodziewamy się, że na rok przyszły uzyskamy nowego towarzysza, który się szczycić będzie, że fundusz na kształcenie się dali mu koledzy, któremu wzorem i bodźcem do sumiennej a wytrwałej pracy będzie miano, jakiem ten fundusz ochrzczony".

Nie było uniwersytetu, nie było techniki, nie było gimnazjum w kraju i za granicą, żeby nie pospieszono z datkiem na ten pomnik trwalszy od kruszcu dla ś. p. Lelewela. Szczególniej obywatele ze zaboru pruskiego znacznie się przyczynili do powiększenia tego funduszu, który urósł w ciągu roku do 600 talarów. Było to piękne ale i ostatnie dzieło, poczęte przez młodych, dokonane przez starszych. Wkrótce miały nieprzewidziane wypadki rozerwać ten brylantowy sojusz młodzieńczego natchnienia i zapału z dojrzałą rozwagą i rozumem wiekowych -- i rzucić jednych pod sztandar powstania, drugich w sidła reakcji. „Kto winien? obie strony. Starcy okazali za mało rozumu i odwagi cywilnej, młodzież za wiele serca i płochości." Temi słowami wypowiedzianemi przezem nie przed 18 lat (w książce: „Zabór Pruski w czasie powstania 1863 r." Jassy 1870 stron 250) kończę niniejsze wspomnienie, życzę aby rozbudziło w czytelnikach gorętsze i lepsze uczucia, których szara treść życia codziennego roznieció nie potrafi.

Przeszłość nie wraca, jak żywe zjawisko
W dawnej postaci — jednak nie umiera:
Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko
I świeże kształty dla siebie przybiera.
Zmarłych pokoleń idealna sfera
W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,
A grób proroka, mędrca, bohatera
Jasnych żywotów staje się kołyską.

(*El...y.*)

SYMFONJA ŚWIATŁA

przez

Walerję Marrené.

(Dokończenie).

Wróciła, odsunęła łańcuch, on wbiegł i postawił przed babką swoje płótno, nie zważając na kwaśne przyjęcie.

Przygasłe oczy pani Soliczewskiej przypatrywały mu się zdziwione. Siedziała, jak zwykle, z pończochą na starym fotelu przy oknie.

— Przyniosłem babci obraz! — zawołał, całując ją w rękę i kłując się o druty.

— Obraz — powtórzyła — a na co mi obraz, kochanku?

— Jakto, na co! — zawołał zdumiony pytaniem.

A potem dodał:

— To ja wymalowałem, niech babcia patrzy.

Przetarła okulary, spojrzała i źrenice jej zabłysły.

— Złoto! — szepnęła z zachwytem, wskazując palcem na łan rzepaku. — Złoto! Jak szczęścia pragnę, złoto!

— Złoto — powtórzył Adrjan — bodaj święte były te słowa. Cóż mi potrzeba, jeśli nie trochę złota, ażeby malować dalej?

Soliczewska zwróciła na niego wzrok podejrzliwy.

— A po cóż ty masz malować?

— To mój zawód, moje szczęście, moja przyszłość.

Umilkł. Usta mu drżały, błagalne słowa cisnęły się na nie.

— Babciu! — zawołał, chwytając jej ręce, z których wypadły druty pończochy — nigdy nie prosiłem cię o nic. Dopomóż mi teraz tylko. Jest to chwila ważna w mojem życiu. Być albo nie być. Cała przyszłość zależy od kilkudziesięciu rubli. Weź ten obraz, namaluję ci ich więcej, jakich będziesz chciała, tylko mi nie odmów. Jesteś tak bogata...

Byłby mówił dłużej, może niekoniecznie to, co mówić należało, bo pani Agnieszka przerwała mu oburzona:

— Co pleciesz? Ja bogata? Jeszcze kto gotów usłyszeć. Opamiętaj się. Co mi po twoich obrazach? Ot robiłbyś co pożyteczniejszego.

— Babciu! jesteś moją ostatnią nadzieją.

— Po mojej śmierci, kochanku! po mojej śmierci, wszystko, co mam, będzie dla ciebie.

Słowa te słyszał już, słyszał dawniej. Przypomniał je sobie. Stanął mu w pamięci ojciec. Jak on mógł poniżyć się do prośby przed tą kobietą, która pozwoliła rodzonemu siostrzeńcowi marnieć z troski? Zerwał się i wybiegł.

— Poczekajże, weź swój obraz, a to warjat! — wołała za nim pani Soliczewska.

Wysłała nawet pannę Leontynę na schody. Adrjan już był daleko. — „Symfonja światła" została u niej.

Adrjan oparł się dopiero u matki Zosi na Dobrej ulicy. Praczka poszła właśnie odnieść bieliznę, ale w izdebce byli współlokatorzy. Wywołał dziewczynę. Smutek jej nigdy nie trwał długo i już teraz śmiała się z całego serca. Śmiech ten był mu przykry, raził go więcej, niż wprzódy bolały łzy. Czegoż się ona tak cieszyła?

Szli nic nie mówiąc do siebie, aż błysnęła przed nim szeroka wstęga Wisły.

— Płyńmy na Kępę! — zawołała dziewczyna.

— Chyba pójdziemy, nie mam grosza przy duszy.

Nadąsała się.

— I bez grosza, i nie wioślarz — mruknęła.

— Zkądże ci znów wioślarz w głowie?

— Byłaby łódka, a potem wioślarze ślicznie ubrani.

Wzruszył ramionami, nie uważając na jej bezmyślne paplanie. Wogóle wolał na nią patrzeć, niż słuchać.

Poszedł na most, ona przy nim. Na środku zatrzymał się, oparł na balustradzie i przyciągnął do siebie dziewczynę.

— Zosiu — szepnął.

Uczuła, że drżał całem ciałem i patrzył na nią oczyma, w których paliła się gorączka.

— Zosiu — szepnął znowu, więcej jeszcze zbliżając ją do siebie.

Most chwiał się pod ciężarem tramwajów i wozów, woda biegła wartko, szum jej mieszał się z turkotem ciągłym, ze świstem odpływającego parowca. Świat zdawał się kręcić koło Adrjana, czuł, jakby mu się most z pod nóg usuwał. Teraz usta jego były tuż przy jej uchu.

— Zosiu! a gdyby tak skończyć walki, niepokoje, cierpienia... razem w tej fali... razem zawsze.

Objął ją teraz silnie, chciał przycisnąć na wieczność.

— Co znowu! — krzyknęła, usiłując odskoczyć. Zwarjował, czy co? Ja się boję. Puść mnie! Puść!

Wyrwała mu się z rąk i biegła, oglądając się trwożnie. On przetarł ręką czoło, jakby nagle zbudził się ze snu. Pozostał na miejscu, patrząc na jej jasną suknię; mknęła szybko po moście, potem po wybrzeżu. Potem znowu spostrzegł ją w łódce z wioślarzem, płynącą ku Kępie. Wówczas uczuł, jakby cząstka jego istoty odrywała mu się z głębi piersi, sprawiając mu głuchą boleść, z której sobie wyraźnej sprawy nie zdawał. Przedmioty wirowały mu przed oczyma, myśli wirowały w głowie. Szedł przed siebie, nie wiedząc gdzie i po co. Zatrzymał się dopiero za miastem wśród równin, na których malował swój obraz. Teraz nie było tam symfonji światła, purpura zachodu ujednostajniała barwy, z łona rozognionych obłoków czerwone odblaski padały na czerniejącą ziemię, tak, jak to chciał odtworzyć. Tylko nie było Zosi, która ożywić miała krajobraz. Czuł, że fala życia uniosła ją na zawsze od niego. Był teraz sam, sam na świecie, z głodem, szarpiącym mu wnętrzności. Ogarniało go wielkie osłabienie.

Usiadł na przydrożnym kamieniu, oparł brodę na kolanach i patrzał na krajobraz, pełen barw i cienia. Cienia było coraz więcej, cień ogarniał go, mroczył wzrok, zasłaniał przedmioty. Zrazu słyszał jeszcze w powietrzu, niby szum daleki, gwary wielkiego miasta, słyszał długo, długo, aż wreszcie stała się cisza.

Nazajutrz rano znaleziono przy drodze Adrjana w gorączce. Odwieziono go do szpitala. Miał tyfus i umarł, nie odzyskawszy przytomności. Nie sądzonem mu było, tak jak i ojcu posiąść krocie babki Soliczewskiej. Kiedy ta do-

wiedziała się o śmierci jedynego spadkobiercy, zapisała cały majątek na cele dobroczynne, a czasopisma wychwalały na wyścigi wielkie serce, hojność, wspaniałomyślność ofiarodawczyni. Przeciwko tym przymiotnikom nie protestował nikt, tem mniej chwastem zarosła i bez grobowego kamienia mogiła młodego malarza.

Pomiędzy staremi sprzętami pani Soliczewskiej, których nie zagarnęła chciwa ręka panny Leontyny, znaleziono słoneczny krajobraz, podpisany nieznanem nazwiskiem Adrjana. Jakiś amator kupił go za marne pieniądze, kazał oprawić i powiesił w swojej galerji. Ogłoszono wówczas „Symfonję światła" arcydziełem, zaczęto żałować przedwcześnie zgasłego artysty, który tak wiele obiecywał. Czasopisma ilustrowane chciały dać jego wizerunek, ale, niestety, nie wiedziano nawet, gdzie go szukać. Nie została może po nim nawet marna fotografja, tylko to jedno płótno.

SOCJOLOGJA.

(Ciąg dalszy).

Ale nietylko grupa pierwotna zawdzięcza swój rozwój w pierwszym rzędzie wojnie, także *i ustroje społeczne wyższego stopnia* powołuje ona do życia, pośrednio lub bezpośrednio. Spółzawodnictwo w przyrodzonej walce o byt z konieczności prowadzi dwie sąsiadujące ze sobą gruppy do zapasów, które prędzej, czy później zakończyć się muszą podbiciem jednej grupy przez drugą, a tą drogą powstaje nowy agregat wyższego rzędu, złożony z dwu lub więcej agregatów niższych. Takie *wtórne agregaty* mogą również powstawać na drodze pokojowej, wywołane wspólną potrzebą obrony *(związki obronne)* albo napadu *(związki zaczepne)*. Ale tego rodzaju związki są zazwyczaj natury przelotnej i dobrowolnie się rozwiązują, gdy przemija ów bezpośredni powód, który wywołał ich powstanie, albo też prowadzą do *hegemonji* tej grupy, która z początku za zgodą innych odgrywała naczelną rolę, a za hegemonją po największej części idzie ujarzmienie grup innych. W każdym razie większe ustroje społeczne powstają zawsze tylko przez połączenie różnych mniejszych grup społecznych tak, że każdy ustrój socjalny, wykraczający poza granice pierwotnej hordy, jest pod względem etnicznym różnolity Nawet tam, gdzie związki obszerniejsze powstają dzięki stałym przyjaznym stosunkom, stworzonym przez *ekzogamję* (z powolnem przekształceniem porywania niewiast na kupno lub zamianę), nawet w takich *związkach rodowych* mamy do czynienia wprawdzie z pokrewnemi, ale właśnie dlatego różnemi i w pojęciu samych tych ludów ściśle odrębnemi gruppami. Pewna jednak miara różnolitości etnicznej sprzyja, jak już wzmiankowaliśmy wyżej, utworzeniu trwałych agregatów wyższego stopnia, podczas gdy nawet najsilniejszy gwałt często nie jest w stanie zbliżyć do siebie grup etnicznie zbyt dalekich, zamalgamować ich pod względem zwyczajowym i obyczajowym, prawnym i językowym i w ten sposób zaprowadzić stan pewnej trwałej równowagi.

Ten sam proces, który powyżej naszkicowaliśmy dla agregatów pierwotnych, powtarza się z kolei przy agregatach wtórnych. Kolizja interesów albo też ich wspólność znowuż prowadzą do wojny i ujarzmienia lub do związków, hegemonji i znowu ujarzmienia jednych grup przez drugie, przez *ustroje trzeciorzędowe* i w ogóle agregaty socjalne jeszcze wyższego stopnia. Te skomplikowane ustroje społeczne na niższych stopniach kultury trwają zwykle bardzo krótko i prawie nigdy dłużej nad żywot ich twórcy. Tylko bardzo rzadko i przy wyjątkowych warunkach przyjść może do utworzenia *państwa* t. j. do trwałej, na prawnej podstawie opartej organizacji społeczeństwa, a przedewszystkiem wówczas dopiero, gdy pomijając pewne niezbędne warunki lokalne, agregaty połączone pod nową władzą prowadzą żywot osiadły i są pod względem etnicznym o tyle bliskie, że pod wpływem licznych wspólnych interesów, mogą uledz dalszej asymilacji aż do utworzenia *narodowości,* której części składowe są połączone węzłem wspólnego języka i wspólności kulturalnego rozwoju.

Ten sam proces różniczkowania, będący wypływem wzajemnego oddziaływania na się różnorodnych pierwiastków wspólnoty, a w dalszym ciągu podziału pracy — proces, w ciągu którego pierwotny agregat z prawie jednorodnej masy przeistacza sią na uorganizowane społeczeństwo, występuje także w analogicznej postaci i w socjalnych agregatach wyższego rzędu, w rozwoju ludów i państw.

Jak tam władza pozostaje przy zwycięskim dowódzcy, tak tu przechodzi ona do zwycięskiej grupy (rodu, ludu), który innym ujarzmionym grupom każe na siebie pracować, a sam bierze w ręce obronę i zarząd kraju. (C. d. n.)

Z pracowni uczonego.

(Dokończenie).

Obraz przedmiotu, który zamierzamy przenieść przez cienką szparę, albo objektyw, pada na lusterko, zamazane woskiem, ale mające na sobie kreskę poprzeczną, tak, iż odbija tylko wąski pasek z obrazu. Lusterko to znajduje się w sąsiedztwie elektromagnesu i nosi zbroję

wskutek czego jest przezeń przyciąganem i odpychanem, oscylując około osi stałej. W ten sposób odbija się w niem pasek po pasku cały przedmiot za każdem wahnięciem.

Pasek obrazu, odbiwszy się od pierwszego lusterka, pada na drugie lusterko, które ma kreskę, równoległą do kreski, otrzymującej obraz, ale która drga około osi prostopadłej względem osi zwierciadła pierwszego. Dzięki temu ruchowi wtórnego zwierciadełka pasek obrazu, rzucony na nie, rozkłada się w tem sam sposób. co przedtem na pojedyncze punkty, przemykające się z nadzwyczajną chyżością po płytce, a raczej pierścieniu selenowym, posiadającym obrot około swego środka (selen, podobnie jak oko, zatrzymuje przez pewien czas zmiany, zachodzące w nim pod działaniem światła, i dlatego trzeba, żeby co chwila inne miejsce płytki było czynne).

Gra światłości i cieniów na selenie zmienia, jak wiemy, jego opór, stawiany przebiegowi prądu, dlatego też ten ostatni ciągle zmienia swą siłę; te wahania prądu, biegnącego po drucie do przyrządu, odbierającego obraz, sprawiają, że elektromagnes, który się tam znajduje, także zmienia ciagle swą siłę przyciągającą. Tenże elektromagnes działa na pryzmę, przymocowany do jego zbroi, oświetlaną światłem dziennem lub elektrycznem. Wskutek ciągłego ruchu pryzmatu, padające nań promienie rozszczepiają się na składowe barwy tęczowe i odbijają zarazem.

Część owych rozszczepionych promieni może przemykać się przez szparę i padać na lusterko, urządzone jak w przyrządzie odbierającym.

Barwa promienia, przechodzącego przez szparkę od pryzmatu, zależy od położenia tegoż pryzmatu, który, jak wiadomo, w swym ruchu jest zależnym od elektromagnesu, elektromagnes z kolei zmienia siłę swą, stosownie do tego, czy przez selen przesyłającego aparatu przemyka się ciemny lub jasny punkt.

Ostatecznie więc na zwierciadełka te aparatu odbierającego pada cały szereg barwnych, poprzedzielanych intermatami ciemnemi i następujących w pewnym za sobą porządku (zależnie od obrazu) świetlanych punktów; chodzi teraz o to, żeby te wszystkie punkty przesłać w przeciągu $^1/_7$ sekundy do oka, nie zmieniając ich porządku i położenia wzajemnego, tak, aby na siatkówce utworzyły obraz.

Synteza obrazu z punktów dokonywa się tak samo przy pomocy lusterek, jak i jego rozkład na punkty pojedyńcze. Pierwsze lusterko przyjmując kolejno szereg punktów, odtwarza dzięki swemu ruchowi oscylacyjnemu pasek z przedmiotu i te paski padając na drugie lusterko, jeden po drugim, wytwarzają także, dzięki jego ruchowi oscylacyjnemu, całkowity obraz przedmiotu.

Ażeby to było możliwem, trzeba, aby lusterka oscylacyjne około prostopadłych osi drgały synchronicznie, to znaczy, żeby w każdym danym momencie miały ścisle jednakowe położenia, to samo dotyczy drugiej pary lusterek, oscylujących około osi horyzontalnych, a odbijających z przedmiotów.

Obraz otrzymany z szybkiego następstwa oświetlonych punktów, ukazujących się w rozmaitych miejscach ze względną równoczesnością, jest dostrzegany za przyłożeniem oka do otworu, naprzeciw zwierciadła „paskowego“, w aparacie odbierającym. Da się on także rzucić przez objektyw na biały ekran i wtedy staje się widzialnym dla wielu osób.

Ponieważ cały obraz zostaje przesłanym w ciągu ułamka sekundy, przeto jest dla sprawy zupełnie obojętną okoliczność, czy przedmiot się porusza czy stoi nieruchomie. Dlatego przez dalekowidz wyżej opisany można oglądać zarówno krajobrazy, jak sceny żywe.

Opisawszy wynalazek Szczepanika, poddajmy go teraz krytyce.

Najprzód daje on obrazy trochę drżące, jak kinemotograf, potem, barwa ich jest niewyraźna.

To są zarzuty, stawiane przez tych, którzy mieli sposobność oglądać telektroskop.

Co do nas, obawiamy się, aby wieści o wynalazku Szczepanika nie okazały się zbyt — optymistycznemi. Przyrząd pomyślany genialnie w zasadzie, ale jak np. wynalazca zdołał otrzymać idealnie synchroniczny ruch zwierciadełek, pomimo koniecznych w praktyce ruchów w sile elektromagnesów, zależnych od ich budowy, nie dających się uniknąć zmian w natężeniu prądu?

Jak ustosunkował ruch zwierciadełka odbijającego „paski“ do ruchu zwierciadełka rozkładającego obraz na punkty. Bo przecież wbrew opisom podanym w „Przeglądzie Tygogniowym“, te zwierciadełka nie powinny drgać synchronicznie. — Oczekujemy w tym względzie ściślejszych danych od wynalazcy.

O tem, jakie usługi odda nam telefot, niema się co rozwodzić, są one zbyt widoczne. Przyrząd ten odegra taką samą rolę względem oka, jak telefon względem ucha.

„Kurjer Codzienny“. *W. Umiński.*

Drukiem K. Wiesnera we Lwowie.